

LUDWIK PACZYŃSKI

ur. 1935; Wilno



Miejsce i czas wydarzeń	Krasnystaw, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Krasnystaw, II wojna światowa, majątek Toruń, wapno, handel obwoźny, szopka, edukacja, szkoła powszechna, państwo Chomczyńscy, stancje, ojciec, matka, doktor Feler

Ucieczka do Krasnegostawu w 1943 roku

To był rok [19]43, musieliśmy uciekać [z majątku Toruń], bo już było tyle napadów, że [strach było tam zostać]. Nam, dzieciom, by nic nie zrobiono, chociaż, kto wie, pijani mogliby przyjść albo maruderzy, Rosjanie, albo nasi, przecież nasi też kradli, jak tylko było można. Potem z jednym takim historykiem rozmawiałem i mówię: „No, tak, dziedziczkom majątki kradli, a teraz do ZBoWiD-u się zapisali”. To jest normalne. A więc uciekliśmy do Krasnegostawu i tutaj skończyło się przede wszystkim dobre jedzenie, bo na wsi to i krowa była, i jajka [były], i ser był, i mleko było, mięso czasem. Ale przede wszystkim co się skończyło – skończyły się opłatki. Otóż opłatki polegały na tym, że kiedy mój tata zorientował się, że dzieciom potrzeba wapna, to skorupy jajek najpierw się bardzo długo myło, potem się długo gotowało, potem suszyło, miazdżyło i potem jeszcze przez taki młynek [przepuszczało], gdzie to jak mąka wychodziło. Przed wojną i po wojnie były takie opłatki, czyli coś takiego okrągłego, tam łyżeczka wchodziła, dajmy na to, cukru czy czegoś i tak to aptekarze sprzedawali. I tata nasypywał tego i każde dziecko, a dużo tych bachorów było, przecież nie tylko my z Grażką, moją siostrą, ale tam na dole było kilkanaścioro, otwierało gębę i dostawało tego opłatka. Taka historia się tam skończyła. No i jeszcze jedno, skończyły się przyjazdy handlarzy. A dla nas na Toruniu – to dziura była, to nie była wieś, to był dom pojedynczy – największą frajdą było, jeżeli przyjeżdżał wóz, konny oczywiście, na którym to wisały garnki, patelnie, Bóg wie, co jeszcze. I za te garnki trzeba było dawać jakieś szmaty. Szmaciarze to byli, nie wiem, czy się to kalkulowało, czy nie. W każdym razie dla nas była atrakcja, bośmy garnki oglądali. To był taki sklep, obwoźny sklep. Jeszcze po wojnie pamiętam, w Łęczycy jak mieszkaliśmy, taki pan jeden jeździł. No i teatr – teatr też na tym Toruniu miał bardzo piękną historię, bo na Boże Narodzenie – szopka. Taka nasza służąca zrobiła szopkę. Był to krąg jakiś taki, gdzie byli powycinani Trzej Królowie, żłobek, Matka Boska, święty Józef, baranki i w środku była świeczka. I kiedy to się rozgrzało, to to

wszystko naokoło sobie chodziło. To było takie panoptikum. Do tej pory nie wiem, na czym polega ta sprawa, ale to wielka frajda była dla dzieci.

[W Krasnymstawie] nie było walk w [19]39 roku, tyle tylko, że na zamku Niemcy mieli więzienie. Potem zresztą, po wojnie, bezpieka miała więzienie. Teraz tam przed zamkiem stoi krzyż albo tablica poświęcona tym, którzy zginęli i w czasie okupacji, i po wojnie, kiedy tam bezpieka naszych aresztowała. Jest na cmentarzu kwatera żołnierzy [19]39 roku.

Jak przyjechaliśmy, tośmy mieszkali na strychu, tata został jeszcze na Toruniu – pacjenci, myśmy mieszkali na takim stryszk u państwa Chodorów. Ja tam wtedy odry dostałem i trzeba było dwa tygodnie w ciemności leżeć. Fajnie było, taki był ciemny pokój. To było gospodarstwo rolne, w tej chwili nie wiem, jak się ta ulica nazywa, domu już nie ma, ale to było vis-à-vis boiska, które do tej pory jest i które było przed wojną. A za nami był dom murowany, który zajmowali Niemcy. I nieraz bawiąc się na ulicy, bawiliśmy się pod płotem tego boiska, widzieliśmy, jak taki gruby Niemiec, czerwony na pysku, prowadził z tamtego domku do gestapo chłopaka, obydwaj skuci byli za ręce, kilkakrotnie prowadził. Mieszkaliśmy u tych państwa do momentu, kiedy wypuszczono z więzienia dziewczynę, która zajmowała [wcześniej ten strych]. Była aresztowana, ale widocznie nic nie przeszkrobała takiego. Wypuścili ją, wróciła, opowiadała, ale mnie przepędzono wtedy z pokoju, kiedy ona opowiadała mamie, babci Heli i państwu Chodorom o swoich perypetiach. Tak że musieliśmy opuścić ten dom i pojechaliśmy na Zakręcie.

[To była] część Krasnegostawu, ulica, mieszkaliśmy u państwa Chomczyńskich. Ja tam zacząłem chodzić do szkoły, bardzo blisko zresztą miałem. Wolno było tylko uczyć się dodawania, odejmowania, pisania, żadnej przyrody, niczego nie było. Polacy mają się tylko nauczyć czytać, pisać i rachować. Oczywiście, już nie było chederów żydowskich, bo to już wtedy zabrano Żydów do Bełżca. Oni, ale to tylko znam z opowieści, jechali przez Izbicę. Tam był wyładunek, Żydów z całej Lubelszczyzny zwożono do Izbicy. To jest takie miasteczko niewielkie w dolinie leżące, zawsze mówiono: „Izbica, Izbica, żydowska stolica”. Tragedia. Do tej pory jest rampa, gdzie tych biedaków ładowano i pociągami [wywożono] do Bełżca. Nie tylko zresztą ich, ale i Polaków. Bardzo dużo było w tej mojej klasie sierot. Jak się wjeżdża do Krasnegostawu, to stał taki dom, tuż przed kościołem, tym po lewej stronie i tam właśnie był sierociniec. Między innymi chodził do szkoły, bardzo lubiany przez nas wszystkich, Bajbus. Nie pamiętam jego imienia i nazwiska, mam go zresztą na fotografii. Maleńki, czarny, taki cwany, fajny chłopaczek. I pamiętam taką historię, mieliśmy prefekta, księdza Ciołka, który potem komunię nam wszystkim dawał, i ksiądz Ciołek coś kiedyś opowiadał: „Pamiętajcie, każdy wasz zły uczynek Pan Bóg widzi, bo Pan Bóg widzi wszystkich”. I tutaj raptem cisza i wstaje taki kolega Bocian, starszy ode mnie, mówi: „Proszę księdza, a Bajbus powiedział, że jak się schowa pod ławkę, to go Pan Bóg gównem zobaczy”. No, więc oczywiście odbyła się egzekucja. Bajbus wrzeszczał, leżał na stole. A myśmy potem dali w tyłek temu Bocianowi za to,

że doniósł. Tak że biedny Bajbus był posiniaczony. Fajna była szkoła. Pamiętam, że Niemcy kazali każdemu uczniowi zbierać babkę i skrzyp jako lekarstwa. I każdy z nas musiał przynieść odpowiednią [ilość], zbieraliśmy całą rodziną. Trzeba było to suszyć.

Mieszkaliśmy u państwa Chomczyńskich, to byli rolnicy, wówczas młode małżeństwo. I tutaj ciekawostka. Kilkanaście kilometrów od Krasnegostawu były chrzciny mojego stryjecznego brata, Tomka Łazuki, później inżyniera, rolnika, wspaniały chłop, niestety już jest na Lipowej, mimo że ode mnie 8 lat był młodszy. Pojechaliśmy tam. Tata z Torunia przyjechał, bo to był jego chrześniak. Myśmy wzięli pana Chomczyńskiego i pojechaliśmy. Babcinka Hela została w domu. Myśmy pojechali, mama, moja siostra Grażka bardzo mała, no i ja na tę uroczystość. To było w takiej wsi, nazywała się Bzite, taka wioseczka. I pan Chomczyński tak się schlał, że go wrzucili, prawda, po uroczystości, z tyłu na wóz, a mama, która przecież i powoziła w Scholinie, i konno jeździła, z końmi miała zawsze do czynienia, [powoziła]. To wóz był taki, nie bryczka, tylko normalny wóz taki, Choma tam sobie leżał pijany zupełnie, tata musiał wrócić na Toruń, ale się o mamę nie obawiał, że sobie nie da rady – batem po koniach i jedziemy. A po drodze, tuż przed Krasnymstawem, wjeżdżaliśmy obecną ulicą Rejowiecką, zaczyna się strzelanina. Z jednej strony piorą Niemcy do naszych, a nasi tutaj. Po prostu zasadzka, potyczka. Mama moja chwyciła nas natychmiast oboje z Grażką, wsadziła pod spódnicę, batem po koniach i przejechaliśmy, nieruszeni. Żandarmeria nas na moście na Wieprzu legitymuje, mama mówi, że wracamy. „A to co to tam?”, „A to gospodarz nasz”, „Jak się nazywa?”, „Chomczyński”, „Choma, ten pijak?! Niech pani jedzie”. No i zajeżdżamy na podwórko do państwa Chomczyńskich, wychodzi pani Chomczyńska i takie oklaski, których byliśmy świadkiem, jakie on dostał, to mordę miał opuchniętą przez kilka dni. Trzecie mieszkanie to nad Kawenką, taka rzeczulka, w tej chwili zasypana, przy ulicy Policyjnej w pobliżu Wieprzu. Była taka Kaweneczka i my tam przenieśliśmy się do domu państwa Kurzejów. Pan Kurzeja był wtedy w Oświęcimiu albo na Majdanku, było dwóch synów, pani Kurzejowa nam wynajęła i wynajęła nam pokój nieopalany, a zima zaczynała się, okrutna zima [19]43 roku. Do tej pory ten domek jest, drewniany. Kiedyś pojechałem tam specjalnie i poznałem męża takiej dziewczuszki, która wtedy, mała Kurzejówna, miała ze dwa lata, się pętała między nami. I tamta zima była tak okrutna, że żeby dzieci mogły wstać, a szczególnie ja do szkoły, to babcia Hela wstawiała raniutko, rozbijała pogrzebaczem lód w wiadrze, które stało, woda do mycia i rozpalala kożę, która stała na środku. Dopiero potem mogliśmy wstawać, jakoś dzień się rozpoczynał. 6 grudnia bardzo czekałem na Świętego Mikołaja, chcąc go przyłapać. Ale niestety, budzę się rano, raniutko, a Święty Mikołaj mi pod poduszką co daje – baśnie lapońskie, które mam do tej pory. Otóż Niemcy pozwalali mieć księgarnie i polskie książki, oczywiście niepodlegające cenzurze niemieckiej, można było kupić. Ta księgarnia była przy wjeździe [do miasta]. Mama kupiła mi tam kilka książek, między innymi właśnie baśnie lapońskie. Ja pamiętam, że bosy, drząc z

zimna przy oknie, bo ciemno jeszcze było, zaczynałem czytać, ale ja tam dukałem, mnie się wydawało, że to baśnie japońskie, a to lapońskie. Potem przeczytałem.

Mamy zdjęcie takie – bardzo mała Grażka, mama i pani Kisielińska, która wtedy ukrywała się, to była przedwojenna reżyserka i aktorka Zbyszewska, wtedy ukrywała się pod innym nazwiskiem w Krasnymstawie, ale przychodziła do nas. Mama wiedziała, kim jest. Natomiast Niemcy poszukiwali gdzie indziej, bo oni, Kisielińscy, nie pamiętam, skąd byli. Wiem, że pani Kisielińska wtedy miała małego synka, który miał trzy lata. Była i starsza siostra jego, wtedy kilkunastoletnia dziewczuszka, która potem była reżyserem we Wrocławiu przez wiele, wiele lat, a w „Samych Swoich” zagrała żonę Pawlaka. Ta, która rodzi i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej, ona po wielu latach zagrała tę rolę.

W tym czasie, kiedy myśmy tam mieszkali, było odbicie więzienia, które było na zamku. Niemcy dostawali szalu zupełnie, szukając, ale udało się tam wypuścić [więźniów]. Wiem tylko tyle, że mama mnie nie wypuszczała, bo Niemcy biegali, wszędzie szukali. Udało się jakoś. I był napad drugi, gdzie myśmy byli świadkami. Na rynku jest magistrat i tam weszło dwóch, a myśmy się bawili wtedy na skwerku takim. Dwóch panów weszło, prawda, po cywilnemu, tam był bank wtedy w tym magistracie również i wynieśli odpowiednią ilość. No i zaczęło się znowu, prawda, Niemcy. Natomiast pod wieżyczką magistratu był herb Krasnegostawu, to są dwie ryby, i te ryby miały ogony troszkę do góry [podniesione]. To ludzie [mówili, że to] dlatego, że te nasze ryby mają w dupie Niemców. Taki był piękny dowcip.

Myśmy wtedy mogli się przeprowadzić na to czwarte mieszkanie, do domu, który do tej pory stoi. Jedyne dom, który ma taką śmieszna wieżyczkę, dom doktora Szpringera. Doktor Szpringer, Niemiec mieszkający w Krasnymstawie, tam wybudował dom. W czasie okupacji ześwinił się i na schodach prowadzących do domu dokonano na nim wyroku, zabili go. Jednocześnie w Krasnymstawie był pan doktor Feler, Niemiec, który był najwspanialszym Polakiem. Doktor Feler był z roku mego taty z uniwersytetu, medycyna była na uniwersytecie, więc tata ukończył Wydział Medyczny Uniwersytetu Warszawskiego. Doktor Feler miał dwóch synów. Doktor Feler oczywiście musiał podpisać listę. Jego synowie dwaj, starsi ode mnie, należeli do Hitlerjugend. Doktor Feler nie tylko nie szkodził Polakom, ale udawało mu się wybronić wielu. I kiedy weszli Rosjanie, to wiadomo, co robili z folksdojczami, z Niemcami, którzy tam zostali. Doktor Feler spokojnie wyjechał do Niemiec. Potem pisał. On nie musiał uciekać, bo niczego złego nie zrobił. On się czuł Polakiem, a musiał podpisać. Przecież mego tatę też zmuszano do podpisania folkslisty. Dlaczego? Dlatego, że jego teściowa, czyli moja babka, babcia Hela Soroko de domo była Weber. Więc Niemcy doszli do wniosku, że jeżeli Weber, to Niemiec. I istotnie, ja mam trochę tej krwi niemieckiej.

Data i miejsce nagrania	2013-04-15, Lublin
Rozmawiał/a	Marek Nawratowicz
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"